

Recenzja pracy doktorskiej

„Koncepcje paryskiej „Kultury” a polska polityka wschodnia w latach 1989-2014”

Autor: Marcin Frenkel, WSMiP Uniwersytet Łódzki

Bardzo aktywne i reprezentujące wysoki poziom kulturowy i intelektualny środowisko paryskiej „Kultury” pozostawiło wartościową spuściznę literacką oraz szereg koncepcji odnoszących się do życia publicznego w przyszłej – wolnej Polsce. W dziedzinie, którą reprezentujemy najsilniej obecna jest koncepcja odnosząca się do polskiej polityki wschodniej. Co oczywiste, najsilniej była obecna w dyskursie dotyczącym tego wymiaru polityki zagranicznej natychmiast po upadku PRL i kiedy jeszcze twórca pisma i skupionego wokół niego środowiska, jego naturalny i charyzmatyczny przywódca, Jerzy Giedroyc był nadal czynny jako publicysta i komentator. Nawiązywanie do doktryny Giedroycia w realnej polityce zagranicznej RP (od 1989 r.) falowało, jednak nie słabło zainteresowanie jego i jego środowiska koncepcjami ze strony publicystów i badaczy tej polityki. Dla jednych było to poszukiwanie potwierdzenia dla własnych myśli i postulatów na tym polu, dla innych interesujący był problem relewantności jego koncepcji w dzisiejszych uwarunkowaniach (geo-)politycznych naszego regionu.

Dysertacja magistra Marcina Frenkela zdaje się łączyć oba podejścia. Z jednej strony mamy w niej domyślne, lecz jednoznaczne utożsamianie się Autora z doktryną Giedroycia, a z drugiej ze starannym jej „przepuszczeniem” przez politykę wschodnią RP w tytułowym czasie, z uwzględnieniem sytuacji w krajach, wobec których była kierowana. Zakres pracy jest nieco szerszy, niż powszechne rozumienie koncepcji Giedroycia-Mieroszewskiego, ponieważ obok tradycyjnej trójki ULB, czyli Ukrainy, Litwy i Białorusi, mamy także Rosję, która jest przecież sama w sobie potężnym problemem polityki polskiej w ogóle, a wobec Europy Wschodniej w szczególności. Połączenie tych dwóch postaw – sympatyka i analityka – nie jest do końca szczęśliwe, ale muszę przyznać, że w najmniejszym stopniu nie rzutuje to na poziom i walory poznawcze pracy, a jedynie na konkluzje, które w niektórych miejscach idą zbyt daleko, o czym poniżej.

Recenzję wypada rozpocząć od standardowego stwierdzenia zgodności treści dysertacji z jej tytułem i tutaj nie ma żadnej wątpliwości: korespondencja pomiędzy oboma stronami jest stuprocentowa. Nieco bardziej problematyczny jest układ czy też struktura pracy. Składa się ona trzech dużych (dwa razy ponad 100 i raz ponad 60 stron) rozdziałów oraz Wstępu i zakończenia oraz epilogu. Nieuzasadnione jest tu numerowanie tych dwóch ostatnich jak rozdziałów – pojedynczą cyfrą arabską – zwłaszcza, że taką cyfrą nie został opatrzony Wstęp (myląca jest przy tym równoległa numeracja rzymska). Taka numeracja oznacza równorzędność części, a tak nie jest, choćby tylko ze względu na różnice w objętości;

Epilog na raptem 1,5 strony (!). Ta uwaga, to niby drobiazg, ale architektura wnętrza też musi się kierować wyczuciem proporcji, a one w naszej pracy drobiazgiem już nie są.

Problematyczność struktury dotyczy jednak czegoś innego, znacznie ważniejszego. Otóż w rozdziałach 2 i 3, gdzie mowa o obecności koncepcji „Kultury” w polityce wschodniej Polski przyjęty został podział chronologiczny według kolejnych, następujących po sobie rządów. Cezura chronologiczna jest wtórna wobec rzeczowej (merytorycznej), no chyba, że chodzi o wielkie okresy czasu jak wiek czy tysiąclecie. Zresztą, ta, przyjęta w tej pracy jest także niekonsekwentna. W tytule rozdziału 2 mamy okres 1989-2000, a jego treść rozciąga się do końca rządu J. Buzka, czyli do października 2001. Nie jest też jasne, dlaczego rozdział 2 został „urwany” na rządzie D. Tuska (do września 2014), jeśli rząd nadal tworzyły te same partie (PO-PSL) i nawet jeśli doszło do zmiany premiera i ministra SZ, linia polityki zagranicznej pozostawała niezmienna. Do istotnej zmiany tej linii doszło od listopada 2015, od kiedy nowa siła polityczna przejęła pełnię władzy w Polsce (o czym jest zresztą mowa w Epilogu).

Podział według rządów nie przekonuje z wielu powodów, choćby ze względu na rozdrobnienie treści i wywodu, które czyni pracę mniej przejrzystą. Bardziej właściwe byłoby przyjęcie jednego z trzech rozwiązań. Pierwsze, to podział na dłuższe okresy, dzielone cezurą merytoryczną, co dawałoby szansę na wyłowienie jakiejś ewolucji, jeśli miała miejsce. Drugie, to podział według problemów (np. według stosunków dwustronnych, stosunku do Europy czy Rosji). Trzeci zaś, to podział według krajów objętych analizą, co nie wykluczałoby cezur chronologicznych już w odniesieniu do każdego z nich pokazujących ewentualny postęp czy regres oceniany przez „pryzmat Giedroycia”.

Wyrażając krytycyzm wobec struktury pracy czy podziału treści, znakomicie lepiej oceniam tę drugą. I to ona broni dysertacyjnego poziomu pracy, jak być zresztą powinno. Wstęp jest standardowy w najlepszym tego słowa znaczeniu, właśnie w odniesieniu wstępu do dysertacji. Przedstawione przez Autora założenia wyjściowe świadczą dobrze o jego świadomości badacza podejmującego ten konkretny problem badawczy. Objasnienia dotyczące spraw definicyjnych oraz spojrzenie na źródła i literaturę przekonują, że Doktorant przystępuje do pracy dobrze „oprzyrządowany”. W jednym punkcie Wstępu muszę wyrazić swój dystans wobec deklaracji Autora, a mianowicie przyjęcie konstruktywizmu jako narzędzia teoretycznego, w znaczeniu tam podanym (s. 12 i nast.). Osobiście nie uważam, aby konstruktywizm wnosił coś oryginalnego do teorii stosunków międzynarodowych czy do badań konkretnych problemów międzynarodowych. Cała ta „teoria” jest jedynie użyciem własnego języka do rzeczy wcześniej znanych i używanych w analizie stosunków międzynarodowych i polityki zagranicznej państw. Zawsze jedno i drugie było prowadzone w praktyce i analizowane przez badaczy przez pryzmat uwarunkowań, różnego rodzaju uwarunkowań, w tym strukturalnych, materialnych i świadomościowych. Aktor zawsze był świadom tych uwarunkowań, także wewnętrznych (w sensie koncepcji czy idei kształtujących jego aktywność i aspiracje, lepiej czy gorzej odzwierciedlających interesy różnych grup społecznych). Świadomi byli tego także badacze tej sfery życia społecznego. Nie był chyba tego świadom Alexander Wendt, który wszedł w ten obszar z własnym językiem i siatką pojęciową i zakrzyknął „eureka!”. To nie pierwszy i nie ostatni przypadek takiej procedury, która ma pretensje do nowości, ale jedynie poprzez inne nazwanie rzeczywistości, z którą dają sobie radę wcześniejsze teorie, oczywiście, ze wszystkim ograniczeniami, które są nieodłącznie związane z każdą teorią. Na szczęście, przyjmując konstruktywizm za

teoretyczny punkt wyjścia, Autor nie zaszkodził w najmniejszym stopniu swojemu badaniu, które jest tak samo dobre, jak gdyby Autor nie użył go wcale, lub posłużył się innym narzędziem teoretycznym, choć pewnie wywód byłby nieco inaczej prowadzony.

Rozdział I, zatytułowany „Polityka wschodnia w ujęciu Jerzego Giedroycia i Juliusza Mieroszewskiego” imponuje zegarmistrzowskim rozłożeniem wszystkich części „mechanizmu”, o którym mowa w tytule. A każda część jest precyzyjnym wyłuskaniem z dorobku obu politycznych pisarzy tych myśli, które najtrafniej odzwierciedlają ich intencje odnoszące się do przyszłej polityki wschodniej. Trafny jest także historyczny „rozbieg” w postaci przedwojennego myślenia polskich elit o podejściu do kwestii wschodniej naszej polityki. Ważne jest przypomnienie i polityki Piłsudskiego, i idei jagiellońskiej ale także inspiracji działalnością II RP, która ukrywała się pod ogólnym kryptonimem „prometeizmu”. Dobrze, że Autor nie pominął w tym miejscu innych ważnych emigracyjnych środowisk, które także uczestniczyły w kształtowaniu wyobrażenia o przyszłej polityce wschodniej wolnej Polski; chodzi o środowisko londyńskie oraz to, skupione wokół RWE w Monachium. Zwieńczeniem tego rozdziału jest staranna rekonstrukcja doktryny ULB, która bazuje na najbardziej reprezentatywnych wypowiedziach duetu Giedroyc-Mieroszewski. Zaskoczeniem może być uznanie przez Autora Rosji, jako priorytetu (obok Ukrainy) ULB, ale wywód Autora tę wątpliwość rozwiewa.

Zdecydowanie przesadny ton znajdujemy natomiast w Posumowaniu tego rozdziału. Wprawdzie podzielam przywołaną przez Doktoranta opinię Leszka Kołakowskiego o „Kulturze” jako o „fenomenie na skalę światową”, ale już kolejne zdanie nie odpowiada rzeczywistości. Przytoczę je w całości: „Rzadko bowiem zdarza się, aby niewielkie elitarne pismo emigracyjne stworzyło zręby polityki zagranicznej dla całego państwa”. A praca zespołu Giedroycia „określiła najważniejsze elementy polskiego interesu narodowego w polityce międzynarodowej, które praktycznie bezdyskusyjnie zostały uznane przez państwo polskie po odzyskaniu suwerenności w 1989 r.”. Z tego poglądu wprost wynika, że poza „Kulturą” nikt w Polsce samodzielnie nie myślał o jej polityce zagranicznej przed odzyskaniem i po odzyskaniu suwerenności. Tak nie było. Było szereg ośrodków i osób, które o tym myślały, niezależnie od „Kultury”, odmiennie od niej lub współzbieżnie, ale bez jej inspiracji, które określały politykę zagraniczną RP. Nikt na szczęście nie ma monopolu na wyciąganie trafnych wniosków z położenia geopolitycznego oraz historycznego doświadczenia danego kraju. Ostatecznie jest ona realizowana przez przedstawicieli aktualnie rządzących sił politycznych, które odzwierciedlają interesy i aspiracje tych odłamów społeczeństwa, które wyniosły je do władzy.

Są też zawsze w polityce pewne oczywistości, które nie wymagają wielkiej podbudowy ideowej, aby mogły być brane pod uwagę, czy wręcz stanowić ograniczenie lub wymóg danej polityki. „Kultura” miała przywilej wolnego pisania o przyszłej Polsce, ale w samej Polsce elity polityczne, które znalazły się u władzy po 1989 roku mogły myśleć podobnie pod wpływem okoliczności, które pojawiły się po upadku bloku komunistycznego. Zresztą, te nowe okoliczności okazały się nierzadko inne niż te, o których marzyli i pisali Mieroszewski i Giedroyc (np. s. 153!). Nie da się wszystkiego w polityce zagranicznej RP, także polityce wschodniej przypisać inspiracji „Kultury” (dotyczy to np. wcześniejszej uwagi Autora o naśladownictwie PPN w jego programie polityki zagranicznej, który – choć w wielu punktach zbieżny – był całkowicie autonomiczny wobec ośrodka paryskiego). Przytoczony wyżej mocny pogląd Autora będzie następnie przenikać jego wywód w dwóch kolejnych

rozdziałach (o polityce wschodniej) w postaci zbyt sztywnego przykładania „miary Giedroycia” do prowadzonej realnie polityki zagranicznej odrodzonej Polski.

Najsilniej będzie to widoczne już na początku II rozdziału dotyczącego okresu formatywnego polityki zagranicznej RP, to znaczy począwszy od rządu Tadeusza Mazowieckiego i ministra Krzysztofa Skubiszewskiego, oraz dalej do końca mandatu ministra jesienią 1993 roku. Jeśli Jerzy Giedroyc był tak kategorycznie i niesprawiedliwie (w sensie bezzasadnie) krytyczny wobec polityki zagranicznej tego pierwszego okresu, co Autor uczciwie przytacza (m.in. s. 103, s. 148), to właśnie dlatego, że w jego przekonaniu nie odpowiadała ona jego wizji i jego wskazówkom. Szczególną niechęcią darzył ministra Skubiszewskiego, ponieważ miał świadomość, że minister nie jest „wychowany na „Kulturze””. I rzeczywiście tak było. Ale też Skubiszewski uważał się za suwerena w tej sferze, bowiem w jego przekonaniu politykę zagraniczną kształtuje się i prowadzi z kraju, z miejsca, z którego lepiej widać, co leży w interesie narodowym i jakie są uwarunkowania oraz aktualne możliwości. Taka analiza i ocena była możliwa dzięki aparatowi polityki zagranicznej (MSZ – centrala plus placówki, oraz wewnętrzne ośrodki jej wsparcia), a nie nawet z „bocianiego gniazda”, lecz oddalonego od kraju.

Główny punkt sporu leżał jak wiadomo właśnie w odniesieniu do priorytetów polityki zagranicznej. O ile Skubiszewski i Mazowiecki byli mentalnie i ideowo „ludźmi Zachodu” i chcieli możliwie szybkiego umocowania Polski w zachodnim systemie geopolityczno-instytucjonalnym, o tyle Giedroyc pozostawał cały czas „człowiekiem Europy wschodniej” (trochę jak Solżenicyn pomimo wielu lat zamieszkiwania w USA mentalnie i kulturowo pozostał Wielkorusem). I dlatego pozostawał krytyczny wobec tego „pośpiechu” Warszawy w drodze na Zachód („tu was nikt nie chce, zajmijcie się lepiej stosunkami ze wschodnim sąsiadami”). Był w tym oczywiście wpływ jego biografii. Trzeba pamiętać, że punkt piąty z podsumowania I rozdziału („włączenie się Warszawy w główny nurt europejskich procesów integracyjnych”) nie był punktem Giedroycia, a to on do końca i najmocniej formułował program „Kultury” i własną „doktrynę”.

Po wyrażeniu moich dwóch głównych zastrzeżeń, to jest podziału treści i nadmiernego posługiwania się „miarą Giedroycia” mogę z czystym sumieniem napisać, że dwa rozdziały dotyczące polityki wschodniej RP w świetle koncepcji „Kultury” nie budzą moich zastrzeżeń. Są dobrze napisane, a imponuje przy tym benedyktyńska praca Autora zarówno jeśli chodzi o rekonstrukcję narracji politycznej poszczególnych rządów na kierunku wschodnim oraz konkretne działania i warunki, w których ta polityka była prowadzona. Dotyczy to zmiennych warunków wewnętrznych jak i niestety dość stałych, czyli niesprzyjających warunków w krajach objętych koncepcją „Kultury”, a wobec których polityka polska starała się „być na miarę”, ale przede wszystkim realizować nasze interesy w tej części Europy. Tekst Pana Marcina Frenkla jest w tych rozdziałach przyzwoitym wykładem tej polityki. I piszę to jako osoba, która przez wiele lat „tkwiła” w polityce zagranicznej RP i nierzadko wyrażała krytycyzm wobec myślenia życzeniowego, które było obecne w jej wschodnim wymiarze. Mogę w tym miejscu wyrazić przypuszczenie, że gdyby Autor pisał pracę o polityce zagranicznej Polski wobec krajów wschodniego sąsiedztwa, ale bez uwzględnienia koncepcji „Kultury” mogłaby ona wyglądać dość podobnie, a przy tym u Autora prawdopodobnie pojawiałaby się wątpliwość, czy aby na pewno możemy liczyć na tym kierunku na tak wiele, zważywszy na okoliczności. Czyli polityka tak, nadzieje i oczekiwania już nie. Bo każdy

normalny polski rząd (lub też rząd innego kraju tak właśnie położony) musiałby prowadzić dość podobną politykę.

Koncepcje „Kultury” są interesującym ornamentem intelektualnym, który dobrze świadczy o polskiej myśli politycznej, ale bez niego byłibyśmy skazani na taką mniej więcej politykę, o jakiej pisano w Paryżu. Historia (w tym kultura) i geopolityka ma mniej więcej takie same prawa pod każdą szerokością geograficzną. „Wizjonerzy” z Paryża nie tyle „zostawili nam za duże buty” (za T. Kamińskim, s. 306), ile ich wizje, czyli te buty słabo pasowały do krain, po których mieliby wędrować odziani w nie polscy politycy i dyplomaci. Wizja „pomostu”, choć wygląda na bardziej sensowną od „przedmurza”, wbrew pozorom nie ma od tej drugiej wiele mocniejszego uzasadnienia, a w kategoriach czysto strategicznych chyba nawet sprawdziła się bardziej ta druga, choć nigdy nie była głośno tak nazwana.

Jak może to wynikać z Podsumowania, Autor ma świadomość, że koncepcje „Kultury” to nie były tablice Mojżeszowe dla polskiej polityki zagranicznej; dopuszczał to też sam Redaktor („materiał do przemyśleń”, a „nie narzucanie jakiejś koncepcji”, s. 328). Był w nich spory pierwiastek subiektywizmu. Pośrednio taką opinię musi wzmacniać wybór konstruktywizmu jako teorii prowadzącej rozważania Doktoranta. Wszak konstruktywizm to subiektywizm w stanie krystalicznym. Odstępstwa od „miary Giedroycia” nie musiały być grzechem czy błędem, lecz zwyczajnie bardziej adekwatnym odczytywaniem sytuacji czy wymogami interesu narodowego – racji stanu. Jeśli zdaniem Giedroycia wymogiem racji stanu był „spokój” wobec rosyjskich ekscesów w Czeczenii (s. 222), to tym bardziej jej wymogiem był silny prymat opcji europejskiej nad wschodnioeuropejską w realnej polityce zagranicznej RP, czemu rozwój wydarzeń przyznał rację.

Pracę przeczytałem z przyjemnością. Jest dobrze napisana, i oparta o bardzo bogate źródła. Przypisy i bibliografia imponują. Bez wątpienia zasługuje na wydanie, choć chyba jednak Autor powinien wtedy uwzględnić bodaj część uwag zawartych w niniejszej recenzji (za drugą się nie wypowiadam). Chodziłoby o wzmocnienie tego, co prawnicy rozumieją pod terminem *rebus sic stantibus*. Nielicznych usterek językowych już nie da się usunąć, a przed ewentualną publikacją uczyni to redakcja.

Nie tylko dlatego, że praca spełnia ustawowe wymogi, ale również ze względu na wybór tematu oraz pasję i poziom na jakim został zrealizowany, z pełnym przekonaniem popieram wniosek o dopuszczenie recenzowanej dysertacji doktorskiej do publicznej obrony.



Roman Kuzniar